

nem surowym. — Ty Stang, masz wykonać słowo w słowo rozkazy, które ci dam, a przedewszystkiem masz mi odpowiedzieć: skąd wzięłeś tę parę bucików z guzikami, świeżo podzelowanych, które miałeś na nogach przedwczoraj?

Szofer popatrzył na mnie, zupełnie ogłupiały.

— No dalej, odpowiadaj! Skąd wzięłeś tę parę butów?

— To mój pan mi je dał... — odpowiedział zalekniony.

— Nie ukradłeś ich?

— Na mój honor, nie — jęknął nieszczęśliwy.

— No to dobrze. A kiedy ci je twój pan podarował?

— Ja... ja już nie wiem... nie pamiętam... niedawno w każdym razie.

— Przypomnij sobie, Stang... Przyjąłeś tu niedawno temu szofera bez miejsca i podałeś go za swego krewnego?

— Nie znałem tego człowieka... chciałem mu wyrządzić przysługę... Nie myślałem, by w tem było co złego...

— Dobrze... A teraz sobie przypomnij... Czy dawno przedtem otrzymałeś tę parę butów?

— Ach, prawda! To było tego samego dnia, panie Dickson! Tak... teraz sobie doskonale przypominam!

— No widzisz!

— Pan Crawford dał mi te buty, bo mówił, że go cisną od czasu, jak je kazał podzelać... tak... dał mi je rano, jak tylko wstał.

— Dobrze... A teraz słuchaj, co ci powiem, Stang. Ty jesteś złodziejem!

— Ja?... Ależ przysięgam...

— Nie przysięgaj!... siedziałeś dwa lata w więzieniu w Adelaidzie za kradzież, spełnioną na szkodę „Cyclon Company“.

Ofiara moja, trzęsąc się na całym ciecie, padła na ławeczkę, stojącą na korytarzu. Ja zaś ciągnąłem dalej:

— Oprócz tego usiłowałeś sprzedać w Australijskim banku w Melbourne papier wartościowy, który nie należał do ciebie.

Szofer padł na kolana.

— Litości, panie Dickson!... litości! — bełkotał.

— Ukradłeś go, nie zaprzeczaj... Chodzi tu w tej chwili o głowę twoją, Stang, gdyż ta obligacja była częścią majątku pana Chancera, który został zamordowany w Green-Park!

— Ja nie jestem mordercą! — krzyknął szo-

fer, zrywając się. — Ja nikogo w życiu nie zamordowałem... Ja wzięłem ten papier, to prawda... ale ja go wzięłem z pokoju mojego pana!

— Dobrze, dobrze — rzekłem — będzie ci to policzonem, żeś się przyznał szczerze... Nie będziesz pociągany do odpowiedzialności, ja ci to gwarantuję, ale pod jednym warunkiem: musisz mi być ślepo posłusznym, Stang!

— Do pańskich usług, panie Dickson — szepnął biedaczysko.

— Uważaj więc, o co chodzi: będziesz czuwał przy wejściowych drzwiach willi, ukrywając się naturalnie i przyjdiesz nas ostrzedz, gdy tylko postłyszysz, że pan Crawford wraca.

Szofer ze zdziwieniem spojrział w stronę pokoju, słabo nocną lampką oświetlonego.

— Twojego pana tam niema — rzekłem.

— Co?... Nie?... aaa!!!

— Nie, niema go tam... Powróci zapewne nad ranem... Zrób, co ci mówię, Stang, a ja za ciebie odpowiadam... jeżeli nie, oddam ci natychmiast w ręce sprawiedliwości.

— Ach, panie Dickson! jak ja mam panu dziękować!

Pożegnałem go ruchem ręki.

— No idź już, Stang!

Szofer zbiegł po schodach pędem, ja zeszedłem na dół do saloniku, gdzie Bailey i Mac Pherson czekali.

O pierwszym świcie, jak przepowiedziałem, szofer przyszedł nas ostrzedz, że pan Crawford wraca. Słychać było zgrzyt zamku furtki ogrodowej. Jednym susem pobiegłem do pokoju nędznika. Moim towarzyszom poleciłem czuwać w pobliżu. — Wszedłem sam i ukryłem się za kotarą łóżka. Czekalem.

Niebawem dał się słyszeć zgrzyt otwieranych drzwi. W chwilę potem rozległy się w nocnej ciszy kroki lekko i cicho stąpającego po schodach. Zdradzało je tylko lekkie skrzypienie schodów. Przez wielką szybę w ścianie, wychodzącą na korytarz, ujrzałem pana Crawforda. Zatrzymał się na chwilę przy zegarze i sprawdził tablicę, na której służba oznaczała swoje przejścia. Miał na sobie ubranie frakowe i wieczorowy płaszcz na ramionach. Wtedy ja cichutko wyszedłem z ukrycia. Otworzył drzwi, spostrzegł mnie i stanął, jak skamieniały. Ja jednakże nie straciłem fantazyi i naj-

naturalniej w świecie, wskazując palcem na woskową lalę, leżącą na poduszce, spytałem:

— Przepraszam, moi panowie... ale który z was dwóch jest właściwie panem Gilbertem Crawfordem?

Bandyta poblądł, jak własny jego obraz woskowy i ręką sięgnął do kieszeni. Odgadłem znaczenie tego ruchu — lecz uprzedziłem go, wycelowując w niego lufę rewolweru.

— Do mnie! — krzyknąłem równocześnie.

Policjanci, ukryci na korytarzu, wbiegli do pokoju. Stang szedł za nimi. Oczy ze wzruszenia wyłaziły mu na wierzch.

— Zaaresztujcie tego człowieka! — rzekłem, wskazując na Gilberta Crawforda — to on spełnił morderstwo w Green-Park!

I spokojnie schowawszy rewolwer do kieszeni, zwróciłem się do pseudo-milionera.

— No i cóż, mój panie — tak sobie życzyłeś widzieć mnie przy robocie! Jakże, czy jesteś zadowolony?

W dwa miesiące później mój nieszczęsny sąsiad kołysał się na sznurku na dziedzińcu więzienia Wellington Gaol. Starzec w niebieskich okularach, który, jak wiadomo, usiłował sprzedać obligacje Newcastle Mining Comp., a którego zupełną niewinność w sprawie udziału w morderstwie pana Chancera wykazano, otrzymał tylko dziesięć lat ciężkich robót.

Ten starzec — był to zresztą młody człowiek, nazwiskiem Tommy i był arcymistrzem w sztuce zmieniania fizyonomii. Gilbert Crawford zaznał się z nim w jednym z więzień w Sydney i przybrał go do spółki umyślnie dla sprzedawania kradzionych papierów. Na pamiątkę tej sprawy, której mi winszował naczelny szef policyi, zachowałem woskową głowę, dowcipny pomysł sprytnego zbrodniarza i umieściłem ją na kominku u siebie w salonie. Być może, że kiedy pojedę do Londynu, a wtedy oddam ją do Muzeum Tussand, gdzie wśród podobizn wielkich zbrodniarzy, znajdzie się w dobranem towarzystwie.

KONIEC.

Nasza nowa powieść.

W następnym numerze „Nowości Illustrowanych“ rozpoczynamy druk nowej, oryginalnej powieści historycznej Wacława Gąsiorowskiego, pod tytułem:

„Generał Bem“

Bliższe szczegóły o tej najnowszej powieści słynnego autora polskiego, wraz z jego portretem i sylwetką, zamieścimy równocześnie z rozpoczęciem druku wspomnianej powieści. ::